

KSIĄŻKA AUTORKI
„BYŁA SOBIE RZEKA”



CZARNE SKRZYDŁA CZASU

DIANE
SETTERFIELD

ALBATROS

Tytuł oryginału:
BELLMAN & BLACK

Copyright © Diane Setterfield 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2022

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracja na obwolucie i oklejce: macrovector/Freepik

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Ludzie powiadają – choć przecież nie mogą tego wiedzieć – że w ostatnich chwilach przed śmiercią człowiekowi przewija się przed oczami całe jego życie. Gdyby rzeczywiście tak było, cynik mógłby uznać, że William Bellman, odchodząc z tego świata, ujrzał długi ciąg transakcji, umów i rachunków, składających się na jego egzystencję. Owszem, gdy miał przekroczyć granicę z tamtym światem – granicę, do której, jak przekonuje się każdy prędzej czy później, prowadzi nas droga – pomyślał o tych, którzy odeszli wcześniej do tej nieznannej krainy: żonie, trójce dzieci, stryju, kuzynie i kilku kolegach z dzieciństwa. Kiedy już wspomniał zmarłych bliskich i jeszcze nie wydał ostatniego tchnienia, powróciło do niego jeszcze jedno wspomnienie. Z głębokich pokładów pamięci wydobył zagrzebanego tam przeszło czterdzieści lat wcześniej kruka.

Już wyjaśniam.

*

William Bellman miał dziesięć lat i cztery dni i wciąż był pod wrażeniem swoich niedawnych ekscytujących urodzin. Obchodził je z kolegami na polach między rzeką a lasem, polach, na które

nurkując w dół, z łopotem skrzydeł zlatywały się kruki i żarłocznie dziobały ziemię w poszukiwaniu larw komarnicy. Charles, przyszły dziedzic zakładu włókienniczego Bellmana, był kuzynem Williama, synem brata jego ojca – co wydaje się proste, ale to tylko pozory. Fred był najstarszym synem piekarza. Jego matka pochodziła z rodziny mleczarzy. Mówiono, że to najlepiej wykarmiony chłopiec w całym Whittingford, i niewątpliwie wyglądał jak pączek w maśle. Miał białe zęby i sporo ciała na solidnym koście i ciągle mówił o tym, jak to kiedyś przejmie piekarnię. Luke z kolei był jednym z potomków kowala. On nie miał czego przejąć – w kolejce po spadek wyprzedzało go wielu braci. Jego rudą czuprynę dostrzegało się już z odległości kilometra, przynajmniej gdy była umyta. Szkołę na wszelki wypadek omijał szerokim łukiem. Nie widział powodu, żeby się do niej zbliżyć. Jeśli chciałby otrzymać razy, mógł na to liczyć w domu. Od niego też trzymał się z daleka, chyba że był bardzo głodny. Jeżeli nie wybrał czegoś do jedzenia, szukał na polach i w sadach, a gdy nie znalazł, podkrażał coś albo wręcz kradł. Chłopiec przecież musi jeść. Był ogromnie oddany matce Williama, która od czasu do czasu dawała mu chleb i ser, a kiedyś podsunęła do obgryzienia korpus kurczaka.

Jeszcze niedawno chłopcy chodzili własnymi drogami, ale na początku tego lata coś ich do siebie przyciągnęło – jeden wiek. Wszyscy urodzili się tego samego roku i tego samego miesiąca. Ta symboliczna więź okazała się niezwykle silna i z upływem sierpnia, dzień po dniu, coraz bardziej przyciągała ich do tych pól i tych żywopłotów już nie tylko przyjaźń, lecz także rywalizacja.

Ścigali się, biegając i wspinając się na drzewa, staczali pozorowane bitwy i walki wręcz. Z każdym przebiegniętym metrem stawali się szybsi, z każdą gałęzią, na którą udało im się wdrapać, zyskiwali szerszy horyzont. Podpuszczali się wzajemnie,

podejmowali każde wyzwanie, coraz bardziej ryzykowali. Śmiali się ze skaleczeń, siniaki były dla nich jak blizny wojenne, odznaki i trofea. Z każdą chwilą i z każdym mijającym dniem mierzyli się ze światem i ze sobą nawzajem.

W wieku dziesięciu lat i czterech dni Will był zadowolony z życia i z siebie samego. Choć do dorosłości brakowało mu jeszcze wiele i wiedział o tym, to nie był już dzieckiem. Przez całe lato, budzony o świcie krakaniem kruków pośród drzew za domem matki, czuł, że nabiera sił. Wyrósł już z kuchni i ogrodu – jego nowym terytorium stały się pola, rzeka i las i miał dla siebie całe niebo. Musiał się jeszcze wiele nauczyć, ale był pewien, że nauczy się tego tak, jak wszystkiego innego w życiu – bez trudu. A ucząc się, mógł codziennie upajać się tym nowym i ekscytującym poczuciem mocy.

– Założę się, że trafię tego ptaka – powiedział teraz.

Wskazał odległą gałąź jeszcze odleglejszego drzewa. Był to jeden z dębów rosnących obok jego domu; widział stąd domek, na wpół zasłonięty żywopłotami.

– Nie uda ci się! – oświadczył Luke, po czym od razu zawołał do pozostałych, którzy właśnie wdrapywali się na wał: – Will twierdzi, że trafi tego ptaka! – Wskazał w dal.

– Nie da rady! – odkrzyknęli tamci dwaj, ale przybiegli, żeby to zobaczyć.

Ptak, kruk albo gawron, był naprawdę daleko, siedział na drzewie w połowie dużego pola.

Will wyjął zza paska procę i demonstracyjnie rozejrzał się za kamykiem. Pociski do proc otaczała aura tajemnicy. Wysoko ceniono umiejętność dobierania odpowiednich i toczono długie rozmowy, porównując ich wielkość, kształt, powierzchnię i barwę. Za najlepsze uważano oczywiście szklane kulki, ale mało który

chłopiec był gotów zaryzykować utratę którejś z nich. William sądził w skrytości ducha, że nadaje się każdy w miarę okrągły, gładki kamyk, jednak jak każdy młody człowiek wiedział, że ważny jest ceremoniał, dlatego się nie spieszył.

Tymczasem koledzy skupili uwagę na jego procy. Nim zabrał się do szukania kamyka, wręczył broń kuzynowi. Charles z początku trzymał ją niedbale, ale potem, czując, jaka jest ciężka, przyjrzał jej się uważniej. Widelki odchodzące od rękojeści wydawały się zbyt symetryczne, aby mogły być naturalnego pochodzenia. Można by przeczesać cały las i nie znaleźć podobnych. Will miał dobre oko.

Fred także pochylił się nad procą. Ściągnął brwi i skrzywił usta, jakby skosztował zjełczałego masła.

– To nie jest drewno orzechowe.

– Orzech łatwo się struga – rzucił Will, nie odrywając wzroku od ziemi. – Ale można się bez niego obyć.

Po prostu naostrzył szczyryk, wspiął się na drzewo i pracowicie oderżnął nim upatrzonego kawałek gałęzi. Dziki bez osiągnął już taki wiek, że drewno było twarde, ale sprężyste.

Skórzana część wydawała się znajoma: Will użył starej skóry, wyciętej z języka buta od pary, która zaczęła go cisnąć. Nieduże zgrabne nacięcia zrobione ostrym nożem pozwalały ją naciągać, tak że mieścił się pod nią mały pocisk. Ale uwagę zwracał jeden całkiem nowy element. Na widelkach, na poziomie, na którym umocowana była skóra, Will wyciął szczeliny szerokości dwóch centymetrów i przeciągnął przez nie przyszyte do skóry rzemienie. A nad i pod każdym węzłem został przepleciony sznurek. Płasko leżał w szczelinach. Charles z podziwem pogłodził procę palcami. To była piękna robota, ale do czego miał służyć ten sznurek?

Zapytał o to.

Luke wyciągnął rękę i oceniająco przejechał palcem po sznurku.

– Żeby skórka nie jeździła w górę i w dół, no nie?

Will wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Do tej pory się nie przesuwala.

Chłopcy nigdy nie widzieli tak wspaniałej procy. Dotychczas myśleli, że proca to proca, zwykła rzecz, spełniająca swoją funkcję albo nie, zależnie od woli bogów, przeznaczenia, ślepego trafu. Użycie jej było próbą zmierzenia się z losem, z szansą, że trafi się w cel, wynoszącą pół na pół. Jednak wydawało się, że w procy Willa nie ma nic przypadkowego. Była dziełem nie tylko rąk, lecz także umysłu.

Luke sprawdził sprężystość rzemieni. Rozciągały się wystarczająco, ale nie mógł oprzeć się pokusie, żeby dodać coś od siebie. Splunął na czubki palców i czule zwilżył rzemienie śliną.

Gdy Will wreszcie znalazł kamyk, który uznał za odpowiedni, ze zdziwieniem zobaczył, że ptak nie odleciał. Spojrzał na swoją procę i włożył pocisk za skórzany pasek. Umiał się nią posługiwać. Miał dobre oko i pewną rękę. I praktykę.

Kruk był naprawdę daleko.

Chłopcy przenieśli uwagę z broni na cel, uśmiechnęli się i pokręcili głowami. Przechwałka Willa była tak niedorzeczna, że sam prawie śmiał się z niej razem z nimi. Ale nie na darmo przez dziesięć lat obserwował, rósł i nabierał siły – dlatego w końcu ogłuchł na głosy niedowierzania kolegów.

Wytyczając wzrokiem łuk, jaki musi przebyć pocisk, aby trafić w cel, Will dokonywał w głowie obliczeń i kalibrował swoją broń. Przyjął postawę: odpowiednio ustawił stopy, znalazł punkt podparcia, napiął mięśnie nóg, pleców i ramion, minimalnie przesunął palce trzymające procę. Naciągnął rzemienie.

W chwili gdy strzelał – nie, tuż przed tym, w tej sekundzie, w której było już za późno, aby się wycofać – poczuł, że wszystko jest

perfekcyjne. Chłopiec, proca, kamyk. Mózg, oko, ciało. Ogarnęła go niezachwiana pewnośc i wtedy wypuścił pocisk.

Długo trwało, zanim kamień przebył wytyczoną trajektorię. A przynajmniej tak się zdawało. William zdążył pomyśleć z nadzieją, że ptak ożyje, zatrzepocze skrzydłami i wzleci z gałęzi. A wtedy kamień, nie czyniąc nikomu krzywdy, upadnie na ziemię i z nieba dobiegnie głucho szydercze krakanie.

Jednak czarne ptaszysko ani drgnęło.

Kamyk osiągnął najwyższy punkt łuku i zaczął spadać. Chłopcy zamilkli. William zamilkł. Znieruchomiał cały świat. Poruszał się tylko ten kamyk.

Jest jeszcze czas, pomyślał William. Mógłbym zawołać, ptak by się spłoszył i odfrunął.

Ale język stanął mu kołkiem, a ten moment trwał i trwał, rozciągając się w nieskończoność.

I wreszcie kamień trafił w cel.

Ptak spadł z drzewa.

Chłopcy ze zdumieniem patrzyli na pustą gałąź. Naprawdę? Niemożliwe! Ale przecież sami widzieli... Trzy głowy zwróciły się w stronę Willa. A on nie odrywał wzroku od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą siedział kruk. Wciąż miał przed oczami spadającego ptaka i próbował zrozumieć, jak to się stało.

Ciszę przerwał Fred, który wrzasnął głośno, i wszyscy chłopcy ruszyli pędem przez pole w kierunku drzewa. Luke biegł, potykając się o korzenie i bruzdy w ziemi, jak zawsze na końcu. Wreszcie i William ruszył się z miejsca. Dogonił kolegów, gdy już stali pochyleni pod drzewem. Szurając nogami, rozstąpili się, żeby mógł zobaczyć.

Tam, na trawie, leżał ptak. Kruk. Młody, z czarnym jeszcze dziobem.

A więc to prawda. Dokonał tego.

Doznał wrażenia, że coś dzieje się w jego piersi, jakby wyjęto mu z niej jakiś narząd i wstawiono w to miejsce inny, obcy. Ogarnęło go dziwne nieznajome uczucie. Przeniknęło z piersi do żył, a nimi rozeszło się po całym ciele. Dotarło do głowy, zatykając mu uszy i uniemożliwiając mówienie, a następnie spłynęło do palców rąk i stóp. Ponieważ nie potrafił go nazwać, wciąż milczał, nie miał jednak wątpliwości, że się w nim zakorzeniło, stało się jego częścią.

– Moglibyśmy go pochować – odezwał się Charles. – Urządzić mu pogrzeb.

Pomyśl, żeby w ten sposób upamiętnić to niezwykle zdarzenie, spotkał się z uznaniem. Zanim jednak ustalili, co konkretnie zrobią, Luke z niepewnością, która wzbudziła śmiech, ujął skrzydło kruka i delikatnie je rozłożył. Na martwego ptaka padł promień światła, który przedarł się przez liście drzewa, i czerń piór nagle przestała być czernią: ukazały się odcienie granatu, fioletu i zieleni. Ten kolor nie zachowywał się wcale, jak na kolor przystało. Mienił się i opalizował tak żywo, że zwodził umysł i oko. Każdy z chłopców zastanawiał się przez chwilę, czy ptak jednak nie przeżył – ale nie. Był martwy, oczywiście.

Trzej chłopcy wymamrotali coś pod nosem i znowu spojrzeli na Willa. To piękno należało się także jemu.

Luke, ośmielony, podniósł kruka.

– Kraaa!

Machnął truchłem, mierząc we Freda, a potem w Charlesa – w Willa nie – i obaj się cofnęli, krzycząc ze strachu, a potem śmiali się z ulgą. Później Fred zaczął się bawić martwym ptakiem: poruszał jego skrzydłami, imitował lot, z upodobaniem krakał i skrzeczał. Will śmiał się słabo. Był to skutek tego, co się z nim działo. Jego płuca były osłabione.

Niebawem Fred poczuł, że bezwładne małe ciało ma w sobie coś nieprzyjemnego. Wszyscy to poczuli. Ten zwisający łepiek, pióra, które nie wracały na miejsce. Syn piekarza z odrazą odrzucił truchło.

Myśl o pogrzebie została zapomniana, natomiast chłopcy przypomnieli sobie o kamyku, który zabił ptaka. Stał się cenny. Szukali go przez długi czas, podnosząc z ziemi podobne.

- Ten za duży – stwierdzali.
- Nie ten kolor.
- Tamten nie miał takiej plamki.

Nie znaleźli kamyka. Dokonawszy cudu, znowu stał się zwyczajny i leżał gdzieś tam, nie do odróżnienia od innych.

Charles orzekł więc – i wszyscy od razu się z nim zgodzili – że to nie była zasługa kamyka. To była zasługa Willa.

Odtworzyli całe zdarzenie, odgrywając je na nowo przed sobą nawzajem. Wyimaginowanymi procami zabili stada wyimaginowanych kruków.

Will stał z boku. Jak każdy dziesięcioletni bohater, zaznał więcej kpín i kuksańców, niż się należało. Uśmiechał się, dumny i jednocześnie speszony, z tym dziwnym uczuciem w sercu, pełen wyrzutów sumienia. Szcherzył się i odpowiadał kuksańcami.

Słońce już zachodziło i zrobiło się chłodno – zbliżała się jesień. Poczuli, że są głodni. Przyszła pora wracać do domu. Chłopcy się rozstali.

Will miał do domu najbliżej – wiedział, że za kilka minut będzie w kuchni, z matką.

Na lekkim wzniesieniu coś kazało mu się odwrócić. Spojrzał tam, gdzie upadł ptak. W ciągu tych kilku minut od odejścia chłopców wróciły kruki. Krążyły nad dębem, było ich z piętnaście, może dwadzieścia. Ze wszystkich stron nadlatywały następne. Ich

sylwetki rysowały się na niebie, luźne klucze ciemnych kształtów, zmierzające do jednego punktu. Jeden po drugim lądowały na gałęziach drzewa. Zwykle takiemu złotowi towarzyszyłby hałas, ptaki skrzeczałyby na siebie, jakby obrzucały się nawzajem żwirem. Ten zlot był jednak inny, odbywał się w ciszy, jakby świadomie, celowo.

Każdy ptak patrzył w jego stronę.

Will zbiegł ze wzniesienia i popędził do domu, tak szybko jak nigdy dotąd. Ośmielił się obejrzeć dopiero wtedy, gdy trzymał już dłoń na klamce u drzwi. Niebo było puste. Spojrzał na drzewo, ale z tej odległości, patrząc pod słońce, które raziło go w oczy, nie był pewny, czy widzi kruki, czy tylko liście. Może wyobraził sobie to wielookie ptasie spojrzenie.

Przez chwilę wydawało mu się, że jeden z kolegów wrócił pod drzewo. I stanął tam, gdzie wcześniej stał on sam, w cieniu. Ale Charles byłby od tego chłopaka wyższy, Fred grubszy, a Luke różniłby się kolorem włosów. No i ten miał na sobie czarny strój, chyba że był to efekt światła i cienia.

Chłopak w okamgnieniu zniknął, pewnie poszedł do domu, przez las.

Will nacisnął klamkę i wszedł do środka.

– Co się z tobą stało? – spytała matka.

*

William był milczący przez cały wieczór i matka zauważyła, że jest błądy. Nie uzyskała jednak odpowiedzi na swoje pytania i zrozumiała, że syn stał się już na tyle duży, aby mieć swoje sekrety.

– Tylko pomyśleć! Za tydzień będziesz już w szkole z Charlesem.

Przytulił się do niej ukradkiem, gdy podeszła, żeby nalać mu

zupy, a kiedy go objęła, nie obruszył się ani nie przypomniał, że skończył dziesięć lat. Czyżby jej nieustraszony syn denerwował się, że ją opuszcza, wyjeżdżając do Oksfordu? Tamtego wieczoru, chociaż nie było zimno, ogrzała mu łóżko i zostawiła w pokoju zapaloną świecę. Kiedy godzinę później wróciła, by pocałować go na dobranoc, już spał. Popatrzyła na niego, pogrążonego we śnie. Ta jego błądź. To naprawdę jej syn? Te dzieci tak szybko dorastają.

Niebawem go stracę, a ma dopiero dziesięć lat, pomyślała. A potem ze strachem w sercu: Chyba że już go straciłam.

Następnego dnia William obudził się z wysoką temperaturą. Tydzień przeleżał w łóżku, pod opieką matki. W tym czasie, gdy coraz bardziej gorączkując, pocił się i jęczał z bólu, zaangażował wszystkie swoje dziesięcioletnie zdolności, aby dokonać największego wyczynu w swym dotychczasowym życiu: zapomnieć.

I prawie mu się to udało.



Kruk wydaje się dość pospolitym ptakiem, dopóki mu się dobrze nie przyjrzeć.

Jego upierzenie należy do najbardziej niezwykłych i najpiękniejszych tworów natury. Jak tamtego dnia zauważyli chłopcy, pióra kruką mogą mienić się oszałamiającą, wręcz pawią paletą kolorów, chociaż tak naprawdę nie mają granatowego, fioletowego ani zielonego pigmentu. Satynowa czerń na łepku i grzbiecie przechodzi na piersiach i nogach w łagodniejszą i głębszą, aksamitną. Nie jest już zwyczajnie czarny, ale czarny jak najciemniejsza noc. Takiego bogactwa czerni nie zobaczy się u żadnego innego stworzenia. To sama jej esencja.

Skąd jednak taki wspaniały kolor?

Cóż, kruk to magik. Jego czarne pióra potrafią stwarzać urzekające efekty optyczne.

„Aha! – powiesz. – Więc to tylko złudzenie”.

Bynajmniej. Kruk nie jest cyrkowym sztukmistrzem z cylindrem pełnym trików, oszukującym oko widza, aby widziało coś, czego nie ma. Tak naprawdę to czarodziej rzeczywistości. Spytaj swoje oczy, jakiego koloru jest światło. Nie potrafią odpowiedzieć. A kruk umie. On chwyta światło, rozszczepia je, część pochłania, a resztę

emanuje, powodując cudowne zjawiska optyczne, ukazując prawdę o świetle, której twoje własne oczy nie są w stanie dostrzec.

Ten niesamowity, urzekający pokaz to niejedyna sztuczka, którą pokazuje za pomocą piór. Mimo że to nadzwyczaj rzadki spektakl, garstka widzów miała okazję go oglądać: w słoneczny letni dzień kruk, zwracając się ku słońcu, z czarnego staje się biały jak anioł. Świetlisty niczym lustro, wręcz oślepia bielą.

Pewnie się zastanawiasz, dlaczego – skoro jest taki piękny i potrafi się tak spektakularnie, magicznie zmieniać – występuje na zwykłych polach, szukając w ziemi larw. Dlaczego tak wspaniałe stworzenia nie należą do książąt, nie mieszkają w złotonnych ptaszarniach, nie są karmione smakowitymi kąskami ze srebrnych tac przez służących w liberiach? Dlaczego spędzają czas z wronami, skoro bardziej odpowiednie byłoby dla nich towarzystwo jednorożców, gryfów i smoków?

Odpowiedź brzmi: kruk żyje, jak chce. Gdy pragnie rozrywki, jaką jest towarzystwo człowieka, poszuka raczej pijanego poety albo staruchy o dzikim wzroku niż damy w diademie. Chętnie zje smoczą wątrobkę i język jednorożca, jeśli uda mu się je zdobyć, ale nie pogardzi też mięsem gryfa, gdy na nie trafi.

*

Są różne określenia na stada kruków. W niektórych miejscach mówi się o nich „hordy”.

Rozdział pierwszy

Przez sześć dni w tygodniu na całej Burford Road rozbrzmiewał hałas maszyn zakładu włókienniczego Bellmana: stukot, turkot, huk, łomot. Najciszej pracowały kursujące tam i z powrotem czółenka; do tego dochodził szum i ryk rzeki Windrush, która obracała koło napędzające całą tę gorączkową krzątaninę. Hałas był tak wielki, że pod koniec dnia, kiedy czółenka stawały, a koło młyńskie nieruchomiało, nadal dźwięczał w uszach włóknarzy. Słyszeli go, gdy szli do swoich niewielkich, skromnych domów i gdy przed nocą kładli się do łóżek, a często nie dawał im spokoju nawet w snach.

Ptaki i inne małe zwierzęta trzymały się z daleka od fabryki, przynajmniej w dni robocze. Tylko kruki miały dość śmiałości, żeby nad nią latać, jakby lubiły ten zgiełk, a nawet chętnie przyłączały się do niego ze swoim skrzekiem.

Tego dnia w zakładzie panowała jednak cisza, bo była niedziela. Ludzie hałasowali po drugiej stronie rzeki i na głównej ulicy miasteczka.

Kruk – albo gawron, trudno je odróżnić – z dużą pewnością siebie wylądował na dachu kościoła, zadarł łeppek i nasłuchiwał.

Och, przyjdź i nawiedz mnie,

*Potężny duchem w środku,
I niechże smutek, strach i grzech
Przyniosą wolność cudowną.*

Pierwszy wers hymnu zabrzmiał fałszywie, nieharmonijnie, jak beczenie stada owiec w dniu targowym. Niektórzy wierni traktowali śpiew niczym zawody, w których nagrodę zgarnia najgłośniejszy. Inni, mający lepsze rzeczy do roboty, zmierzali do końca najszybciej, jak tylko mogli, a jeszcze inni, pełni obaw, że za bardzo się wysforują, wyraźnie zwalniali tempo. Tym śpiewakom towarzyszył tłum robotników z zakładu włókienniczego, którzy potracili słuch. Zawodzili płasko, monotennie, wydając taki odgłos, jakby zaciął się jeden z organowych pedałów.

Na szczęście był chór, a w chórze – William Bellman. Jego tenor, czysty i dźwięczny, pełnił funkcję kompasu, pomagał pozostałym głosom odnajdywać północ i orientować się, dokąd zmierzają. Mobilizował, dyscyplinował i wyznaczał cel. Jego wibracje pobudzały nawet bębenki tych niedosłyszających, tak że ich niskie zawodzenie stawało się prawie melodyjne. I choć jeszcze przy słowach „wolność cudowną” wierni zwyczajnie meczeli, to śpiewając „przyjdzie radosny dzień”, wyraźnie się mobilizowali; przy „gdy stare odejdzie” już byli zgrani, a przy „nastanie wieczna łaska” w ostatnim wersie dzięki Williamowi brzmiali całkiem przyjemnie dla ucha, jak każda wspólnota brzmieć powinna.

Ostatnie dźwięki hymnu ucichły, drzwi kościoła się otworzyły i wierni zaczęli wychodzić na placyk przy cmentarzu, gdzie zatrzymywali się, żeby pogawędzić i nacieszyć się jesiennym słońcem. Były wśród nich dwie kobiety, jedna starsza, druga młodsza, obie przystrojone bukiecikami kwiatów, broszkami, wstążkami i czym się jeszcze dało. Podawały się za ciotkę i siostrzenicę, ale niektórzy

szeptali, że to nieprawda.

– Chciałoby się, żeby codziennie była niedziela – powiedziała tęsknie młoda panna Young, mając na myśli głos Williama.

Pani Baxter, usłyszawszy to, odparła:

– Jeśli masz ochotę częściej słuchać śpiewu Williama Bellmana, to wystarczy, że pójdziesz w tygodniu do Czerwonego Lwa. Jednak – dodała ciszej, ale tak, żeby usłyszała ją Dora, matka Williama, która stała niedaleko – to, co miłe dla ucha, nie musi być równie miłe dla duszy.

Dora przyjęła tę uwagę z dobrotliwym wyrazem twarzy, po czym zwróciła się w stronę podchodzącego mężczyzny, swojego szwagra.

– Powiedz mi, Doro, co William porabia, kiedy nie drażni tych, którzy wystają pod oknami Czerwonego Lwa?

– Pracuje u Johna Daviesa.

– Podoba mu się praca na farmie?

– Znasz Williama. Zawsze jest zadowolony.

– Jak długo zamierza tam zostać?

– Dopóki będzie robota. Żadnej się nie boi.

– Nie wolałabyś, żeby miał jakieś stałe zajęcie? Z widokami na przyszłość?

– Co masz na myśli?

Rzuciła mu wymowne spojrzenie, bo oboje znali całą tę długą historię, a on odpowiedział wzrokiem: „Tak, to wszystko prawda, ale...”.

– Mój ojciec jest już starym człowiekiem, więc przejąłem zarządzanie fabryką. – Chciała zaprotestować, ale nie dopuścił jej do głosu. – Nie będę mówił o innych, jeśli cię to denerwuje, lecz czy ja cię w jakiś sposób skrzywdziłem, Doro? I czy skrzywdziłem w jakiś sposób Williama? U mnie w fabryce chłopak miałby

perspektywy, widoki na przyszłość, byłby zabezpieczony. Czy to w porządku odmawiać mu tego?

Czekał.

– Nie skrzywdziłeś mnie w żaden sposób, Paul – odrzekła w końcu. – Zdaje się, że jeśli nie uzyskasz ode mnie takiej odpowiedzi, jakiej oczekujesz, zwrócisz się bezpośrednio do Williama?

– Wolałbym, abyśmy doszli do porozumienia.

Chórzyści się przebrali i wychodzili teraz z kościoła. Był wśród nich William. Zwróciło na niego wzrok sporo osób, bo patrzeć na niego było równie przyjemnie, jak go słuchać. Miał takie same ciemne włosy jak stryj, myślące czoło, oczy zdolne widzieć wiele rzeczy naraz, muskularne ciało oraz wdzięk i swobodę. Niejedna kobieta zastanawiała się tego dnia przed kościołem, jak by to było znaleźć się w jego ramionach – i niejedna już to wiedziała.

Chłopak zauważył matkę, uśmiechnął się szerzej i pozdrowił ją gestem.

– Porozmawiam z nim – powiedziała do Paula. – Niech sam zdecyduje.

Pożegnali się i Dora podeszła do syna, a Paul samotnie ruszył do domu.

W kwestii małżeństwa Paul za młodu nie zamierzał popełnić tego samego błędu co jego ojciec i bracia. Nie chciał głupiej żony z workami złota ani piękności bez pieniędzy, którą wzięłby z miłości. Ann była mądra i dobra – i w posagu miała tylko budynek farbiarni. Jako rozsądny młodzieniec wybrał drogę pomiędzy i w nagrodę dostał harmonijne życie domowe, miłe towarzystwo i farbiarnię. Jednak mimo rozsądku i praktycyzmu oszukiwał sam siebie. Gdy żona zmarła, nie opłakiwał jej, jak na kochającego męża przystało, i w bolesnych chwilach szczerości wobec samego siebie przyznawał w głębi serca, że myśli o szwagierce inaczej, niżby wypadało.

Dora i William wrócili do domu.

Kruk na dachu kościoła niespiesznie zamachał skrzydłami, bez wysiłku wzniósł się w powietrze i odleciał.

*

– Z chęcią – powiedział William do matki w ich małej kuchni.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– A gdybym miała?

Uśmiechnął się i objął ją serdecznie. Miał dopiero siedemnaście lat i wciąż czerpał przyjemność z tego, że jest znacznie wyższy od matki.

– Wiesz, że nie chcę sprawić ci przykrości.

– Ale jest pewien szkopuł.

*

Jakiś czas później w ustronnym miejscu, osłoniętym zaroślami, William serdecznie otaczał ramieniem kogoś innego. Jego druga ręka nikięła pod halkami i dziewczyna co chwila kładła na niej swoją dłoń, aby dać znać: wolniej, szybciej, mocniej. Pomyślał, że czyni postępy. Na początku kierowała nim przez cały czas. Jej białe nogi wydawały się jeszcze bielsze na tle mchu i nie zdjęła butów: gdyby ich ktoś nakrył, musieliby uciekać. Oddychała gwałtownie, cicho jęcząc. William nie mógł się nadziwić, że z rozkoszy można wydawać takie same dźwięki jak z bólu.

Nagle zamilkła i na jej czole pojawiła się zmarszczka. Przycisnęła jego rękę tak mocno, że było to niemal bolesne, i złączyła nogi. Zafascynowany, obserwował ją uważnie. Rumieniec na jej policzkach i piersi, drżenie powiek. Potem się odprężyła. Oczy wciąż miała zamknięte i na jej szyi pulsowała żyła. Po chwili otworzyła oczy.

– Teraz kolej na ciebie.

Położył się i splótł ręce pod głową. On nie musiał instruować dziewczyny. Jeannie znała się na rzeczy.

– Nie chciałaśby czasem usiąść na mnie i zrobić to jak trzeba?
– zapytał.

Przerwała i żartobliwie pogroziła mu palcem.

– Williamie Bellman, zamierzam pewnego dnia zostać porządną zamężną kobietą. Nie przeszkodzi mi w tym twoje dziecko!

Wróciła do swojego zajęcia.

– Za kogo mnie masz? Myślisz, że nie ożeniłbym się z tobą, gdyby dziecko było w drodze?

– Nie bądź głupi. Nie o to chodzi.

Pieściła go dalej, delikatnie, ale zdecydowanie. Z wprawą.

– A o co?

– Dobry z ciebie chłopak, Will. Nie mówię, że nie.

Ujął jej rękę i zatrzymał ją, po czym uniósł się na łokciach, aby spojrzeć dziewczynie w twarz.

– Ale?

– Will! – Widząc, że William nie da się zbyć byle czym, zaczęła mówić, niepewnie, z wahaniem, wyrażając swoje myśli. – Wiesz, jakiego życia pragnę. Stabilnego. Statecznego. – Kiwnął głową, dając jej znak, żeby kontynuowała. – A jakie bym miała, gdybym za ciebie wyszła? Trudno powiedzieć. Wszystko mogłoby się zdarzyć. Nie jesteś złym człowiekiem, Will. Tylko...

Znowu opadł na plecy. Nagle coś przyszło mu do głowy i ponownie spojrzał na dziewczynę.

– Masz na oku kogoś innego!

– Nie! – Jednak zdradziły ją przestrasz i rumieniec.

– Kto to jest? No kto? Powiedz!

Chwycił ją i zaczął łaskotać, i przez chwilę znów byli dziećmi, które piszczą z rozbawieniem i biją się na niby. Szybko jednak przypomnieli sobie, że są dorośli, i dokończyli to, co ich tam sprowadziło.

Kiedy liście i niebo w górze znowu nabrały ostrości, William stwierdził, że w czasie, gdy jego ciało było zajęte, umysł nie przestał pracować. Dziewczyna pragnęła szacunku. Była robotnicą, łatwe życie jej nie pociągało. I jeśli zabijała z nim czas, czekając na innego, to znaczy, że tamten jeszcze nie zwrócił na nią uwagi. Nie było tak wielu kandydatów w odpowiednim wieku i większość z nich dało się wyeliminować z tego czy innego powodu. Z pozostałych jeden niewątpliwie się wyróżniał.

– To Fred z piekarni, prawda?

Przestraszyła się. Podniosła rękę do ust, a potem, zbyt późno, położyła ją na jego ustach. Na palcach miała zapach ich obojga.

– Tylko nikomu nie mów. Will, proszę, ani słowa! – I rozpląkała się.

Przytulił ją.

– Ciii! Nikomu nie powiem. Nikomu. Przrzekam.

Szlochała, potem dostała czkawki i wreszcie się uciszyła, a wtedy ujął jej dłonie.

– Jeannie! Nie przejmuj się. Założę się, że za rok będziesz już mężatką.

Umyli ręce w rzece i rozeszli się w przeciwnie strony, żeby nie widziano, że razem wracają do domu.

Will szedł okrężną drogą, w górę rzeki, przez most i z powrotem drugim brzegiem. Był wczesny wieczór. Lato miało się ku końcowi. Zrobiło mu się przykro z powodu Jeannie. To dobra dziewczyna, pomyślał. Zaburczało mu w brzuchu i przypomniawszy sobie, że w domu są powidła i ser. Puścił się biegiem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).